jutrzenka

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 7 listopada 1937 r. Nr. 9



Groby powstańców z 1863 r., które podczas minionego święta umarłych w Warszawie zostały oddane pod opiekę młodzieży.

Rocznica Niepodległości

W nadchodzący czwartek dnia 11 listopada cała Polska obchodzi wielki swój dzień święta niepodległości. Przed dziewiętnastu laty 11 listopada 1918 roku Polska po stu pięćdziesięciu latach niewoli odzyska swój byt niepodległy, stała się państwem takim, jakie mają inne wolne narody.

Wy już, Drogie Dzieci, tamtych czasów nie pamiętacie. Jesteście już dziećmi Polski Niepodległej, której już nie trzeba wywalczać, ale którą bronić trzeba przed napaścią wrogów.

W tym też roku święto niepodległości odbywać się będzie pod hasłem zbratania się z armią polską młodzieży, która też kiedyś będzie armią. Pamiętajcie więc, że żołnierz polski jest Waszym starszym bratem.

DZIADUNIO

Było sobie dwuch przyjaciół: dziadunio i jego zegar.

Dziadunio siedział na ulubionym swym fotelu uprzy kominku, a zegar wisiał nad kominkiem, między wielkim portretem babuni a starym jakimś, Bóg wie, jakie czasy pamiętającym, ryngrafem.

Kto był starszy, dziadunio czy zegar, niewiadomo. Oni sami tego nawet nie wiedzieli. Dość, że obaj byli straszliwie starzy! Czego oni już nie widzieli i nie słyszeli na świecie?

Dziadunio jednej nogi nie miał bo ją na wojnie stracił, o kuli chodził a jeszcze i z drugiej strony laską się podpierał.

Zegar, choć wcale nóg nie miał, raźniej jeszcze chodził, prawda, że różnie: raz prędzej, raz wolniej, jak mu tam sił starczyło. Po każdym nakręceniu przypominały mu się młode lata i pędził, jak szalony, aż stare wahadło sapało ze zmęczenia — Później opamiętywał się, zwalniał coraz bardziej, zaczynał postękiwać skrzypieć, zgrzytać i gdyby go dziadunio nie pamiętał co dnia wieczorem nakręcić, byłaby może awantura.

Ale dziadunio nigdy o tym nie zapomniał, bo bardzo był do swego przyjaciela przywiązany.

Mieli obaj trzeciego przyjaciela, małego Stacha, dziaduniowego wnuczka, co miał osiem lat i ogromnie lubił siedzieć u nóg dziadunia i godzinami choćby słuchać prześlicznych bajek, albo opowiadań o tem, jak to dawniej na świecie bywało jak dziadunio na wojnie bywał, po świecie wędrował, jakie niezliczone miewał przygody.

A stary, poczciwy zegar, choć te wszystkie dziaduniowe opowiadania

znał i na pamięć prawie umiał, przysłuchiwał się zawsze ciekawie i tylko cicho kiwając wahadłem, przytakiwał:

— Tak — tak. Tak — tak

A czasem, kiedy dziadunio o wojnie opowiada, o tem, kiedy to w kilkunastu całą chmarę kozaczą przepędzili, odbijając gromadę naszych, co już do niewoli moskiewskiej dostała się, wtedy i stary zegar strzymać nie może i z wielkim sykiem i chrzęstem woła:

— Bij! Bij! Bij! Bij!

* * *

— Dziaduniu! Jak to było z tą torbą? Mój dziaduniu kochany!

— Z jaką znowu torbą, co ci się przyśniło?

— A z tą torbą, co ją dziadunio kozakowi zabrał.

— Aha, to ta pod Dębem, za pierwszej wojny.

Dziadunio dwie polskie wojny na karku nosił, bo i tę z roku 1831, jako chłopak dwunastoletni pamiętał i tę z r. 1863, kiedy mu już piąty krzyżyk mijać zaczynał. Zawsze je tak liczył: — Pierwsza — druga.

— No to posłuchaj. Opowiadałem ci już kiedyś o wsi Ostrowiu, niedaleko Warszawy, co w niej, chłopcem będąc, mieszkał? Pamiętasz?

— Pamiętam, dziaduniu.

— A rzeczkę Hoszczówkę pamiętasz?

— Ta, co to dziadunio w niej kiedyś wydrę złapał. Pewno, że pamiętam.

— No, to widzisz, przy tej rzece, za pierwszej wojny, to nasi okrutnie Moskalom skórę przetrzepali i ja to widziałem, rozumiesz, na własne oczy. Kopa lat mija od tego czasu, a człek to w oczach ma, jakby to wczoraj widział. Takich rzeczy się nie zapomina, nie.

A to było tak. Wiosna szła. Już było po wielkiej Grochowskiej batalii, w której to ani nasi, ani Moskale górą nie byli. Moskiewskiego wojska włóczyło się wszędzie pełno, było go i bez liku w naszym Ostrowiu, a we dworze stał ze świtą sam generał Rozen. Djabeł on był wcielony ten cały generał. Oczy mu się świeciły, jak wilkowi, wilkiem na ludzi patrzył, nikomu dobrego słowa nigdy nie powiedział.

A już od dłuższego czasu cicho było i głucho dokoła. Jakby wojny nie było.

Aż tu raz wpada do mnie na stryszek, gdzie swój kąt miałem, Wojtek, chłopak stajenny, budzi mnie i woła, że od Warszawy okrutne strzały armatnie słychać. Niebardzo mnie się tam zrazu mógł dobudzić, ale jakem sam armaty usłyszał, tom wmig wytrzeźwiał. Bitwa gorzała na dużym froncie, bo strzały szeroką szły ławą.

Od feldjegrów, którzy raz po raz przyjeżdżali przed dom na spienionych koniach, przesiąkać zaczęły wiadomości. Boże miły, jakie wiadomości! Moskale rozbici pod Wawrem, wycofują się wszystkimi siłami. Cała straż przednia pod generałem Geismarem uchodzi traktem brzeskim. Już są pod Miłosną. Z frontu, od Wawra, bije ich Giełgud z boku, od północy, od Ząbek i Kawęczyna zachodzi im pono tyły Rybiński.

Niesposób było w domu wysiedzieć. Zaraz po odbiedzie wybraliśmy z Wojtkiem ku traktowi. Wiedziałem, że oberwę od matki, ale trudno. Nie codzień wojna i nie co dzień Moskali piorą.

Przez łąkę tylko od Ostrowia le-



Listopad jest dla Polaków miesiącem niezwykłym. W miesiącu tym przypadają wielkie rocznice narodowe. Prócz święta niepodległości przypada w listopadzie rocznica wybuchu powstania 1831.

Oto mogiła tych, którzy padli pod Olszynką podczas tego powstania.

żała na wzgórzu wieś Dębie Wielkie a koło niej trakt brzeski do Warszawy ku Siedlcom i dalej na wschód. Traktu widzieliśmy tylko kawałek, bo dalej zasłaniały go zarośla i wzgórze, na którym wieś leżała wieś. Za traktem rozlewisko — to owa Hoszczówka, rozlana wtedy dość szeroko.

Schowani w kępie olszyny prze

siedzieliśmy parę godzin, niewiele zresztą wiedząc, co się na świecie dzieje. Na szczęście płynęły wciąż do Miłosny rosyjskie wojska: piechota jazda, trochę armat.

Już mieliśmy wracać do domu, kiedy nagle zupełnie blisko, tuż tuż prawie buchnął głuchy armatni strzał. Szosę odrazu jakby kto wymiótł, a zato z za traktu i z góry ze wsi zaczęły odpowiadać rosyjskie armaty.

Bitwa, Jezus, Maria, bitwa!

Hej, Stachu, Stachu, co to wtedy człowiek przeżył przez te parę godzin! Starszy byłem jużci, niż ty te raz, ale nie tak znowu wiele. Wojnę zbliska widziałem pierwszy raz. Później tom jej się dobrze w życiu przypatrzył, a ona mnie, ale wtedy dzieciuch taki, smarkacz...

Nawet i bać się tak znowu bardzo w tej olszynie nie bałem, ale co armata huknie, to mnie mało serce nie wyskoczy i krew nie zaleje, aż mi oczy mroczyło. Ściskałem tylko Wojtka z całej siły za rękę, a on mnie. Nogi nam w ziemię wrosły. Żeby wszystkie wojska były runęły wtedy na olszynę, nie bylibyśmy chyba drgnęli, tak nas przykuło do miejsca.

A tu nagle przed wsią ruch się robi. Widzę za szosą piechota się rozsuwa. Boże miłosierny, toż to czwartacy! Wuja tam miałem porucznikiem, to ich przeciеż znał dobrze. Czwartacy! Czwartacy! Trąbki grają a oni idą do ataku, jak na paradzie. To było wojsko! Mundury granatowe z białem, czapka wysoka z orłem i pomponem. Pod Grochowem im krakowiaka grali jak szli w olszynę. Mój ty, Boże! Kiedym w 30 lat później sam wojować zaczął, gdzie nam było o takich śliczności ach myśleć. Dobrze było, jak człek burkę na grzbiecie czuł, a buty na nogach od jednej pary, nie tak, jak ja, co kiedy mi mieli nogę urzynać, to zdrowa była w bucie z cholewą, a chora, co ją ucięli, w kamaszku. Dziadyśmy byli, nie wojsko. Ale biliśmy się nie po dziadowsku; nie gorzej od tamtych. Mógłby coś nie coś o tem Czachowski powiedzieć, gdyby żył.

Gdzież to ja aż do Czachowskiego zawędrowałem?

Idą tedy czwartacy. Doszli do Floszczówki, zapadli w szuwarach. Pukanina. Po drugiej stronie szosy na lewo zarosla wali inne [illegible] piechota. Na szosie też ruch. W pełnym galopie podjeżdżają dwie armaty. Odprzodkowują. Walą. Widać, jak mrówki. Długo krzyżowego ognia się koło armat ludzie kręcą jak strzymać nie mogli, cofnęli się. Zato czwartaków znów widać, posiłki jakieś do nich podchodzą. Ruszyli chyba. Idą.

Zmierzchało się po mokrej ziemi zaczęły się czepiać białe płachty oparów.

Szosa zaroiła się nagle. Jazda. Widać ją zdaleka, jak się na szosie ustawia. Walą do niej z armat Moskale, ale to nic. Na czele jakiś oficer z gołą szablą. Co to? Atakują Wojtek! patrz — atakują. Lecą. Ależ lecą!...

Lecieli strzelcy konni szóstkami po trakcie, szwadron za szwadronem jakby ich wicher gnał.

Nadstawił im się jakiś moskiewski batalion, ale od uderzenia pękł na dwoje i rozprysnął się po obu stronach szosy. Znikli za wzgórzem, na którem leżała wieś. Chwila ciszy, po

tem jakiś stłumiony odgłos ,rosnący gwar ,krzyk i nagle całe zbocze jącego, wrzeszczącego sołdactwa. A wzgórza zapełnia się tłumem ucieka Nasi! Rozumiesz ty, Stachu, co to słowo znaczy i co się w tem słowie mieści? Nasi! Wielkie, kochane słowo.

Waliło to wszystko prawie na naszą olszynę. Z biegnącego tłumu odłączyła się konna grupka oficerów Zatrzymali się tuż koło nas. Żeby nie krzaki, byliby nas dostrzegli. Zataiiliśmy dech w piersiach. W jednym z oficerów poznałem Rozena. Wzrok miał jeszcze bardziej ponury i dziki, jak zwykle. Ranny był na bandażu na nodze widniała ciemna plama

Inny jakiś jenerał coś mu przekładał i tłomaczył. Skinął wreszcie głową na znak zgody. Na uboczu stała grupka kozaków, towarzyszących jenerałom. Przywołano jednego z nich. Rozen wyjął z zanadrza wielki, skórzany, nakształt torby pugilares i wręczył go kozakowi, dając mu przytem jakieś polecenie i wskazując ręką w kierunku Mińska.

Nagle zakotłowało nam się w oczach wszystko. Z za olszyny wypadła garść naszych ułanów, a widząc moskiewskie generalskie mundury, dalejże w nich. Skąd się ci ułani wtedy tak nagle z pod ziemi wzięli, tego dalibóg do śmierci nie będą wiedział.

Trzask! prask! i już po wszystkim W Moskali jakby piorun trzasł Widać ich już het daleko, jak gonią. Rozen na lepszym koniu na przedzie, za nim ten jego generał, a za nimi garść kozaków udaje, że się ułanom odcina. Rola rozmiękła, konie ułańskie zdrożone mocno. Uciekną łajdaki.

Uciekną. Tak, prócz tych, co przy olszynie zostali. Ci nie uciekną. — Akurat na nasze krzaki padł z przestrzeloną skronią oficer moskiewski Ni leżał, ni stał, tylko wisiał z krzaka, a z rany kapała mu krew, prawie, że na moje nogi.

Szeroko rozwalony na łące leżał wraz z koniem kozak, ktoremu Rozen torbę z papierami doręczył. — Kon od postrzału, on od cięcia w głowę szablą, padli razem mokry, torfiasty grunt. Z torby ktorej kozak schować jeszcze nie zdążył, posypały się przy upadku jakieś papiery, mapy... Papiery.. Mapy... — Tknęło mnie coś. To musi być diablo ważne, skoro Rozen miał przy sobie. Trzebaby to naszym oddać.— Trzeba. Prędzej, póki wiatr papierów po łące nie rozniesie, póki nas nowa kupa jaka nie ogarnie Wypadliśmy z olszyny. Wojtek pogonił za papierami, jak dygocącymi rękami wyciągam torbę z pod wciśniętego w trawę konia. Choć ziąb na dworze, zlany byłem potem. Wyciągnąłem. Odetchnąłem z ulgą. — Wojtek! W nogi!

Łatwo powiedzieć: w nogi! — Strzelanina ogarnęła nas ze wszystkich stron. Niewiadomo, kto strzela, kto goni, kto ucieka. Co chwila kupy pędzącego i wrzeszczącego w niebogłosy sołdactwa, za nimi nasi i znowu Moskale. Włosy stanęły mi Znikło wszystko, znów równie szybko, jak się pojawiło. Jakieś krzyki dalekie, coraz cichsze, cichsze.

Noc zapadała. Ucichło wszystko prócz wesołego, zwycięskiego gwaru, jaki bil od strony naszych pozycyj. Z torbą pod pachą , a triumfem w duszy ruszyliśmy do domu— Wyżej miałem duszę na ramieniu.

kiedym się z matką w sieni zetknął niż tam w olszynie.

Chwila strachu, pełne wyrzutu spojrzenie matki, a potem padliśmy sobie w objęcia i długo długo nie chciało nam się rozpleść rąk. I długo później żadne z nas słowa z gardła dobyć nie mogło.

Torbę oddałem własnoręcznie kapitanowi, który z batalionem strzeleckim w Ostrowiu na noc zakwaterował. Pocałował mnie, kiedym mu wszystko opowiedział i rękę mi podał Słyszysz Stachu, mnie, dwunastoletniemu bąkowi, rękę podał. Kapitan drugiego pułku strzelców pieszych.

W wiele wiele lat później dopiero dowiedziałem się, że w tej mojej torbie były najważniejsze moskiewskie dokumenty wojskowe a więc dla naszych wodzów skarb nieoceniony.

* * *

— Stachu powiedz dziadunowi dobranoc i chodź spać, bo już wielki czas.

Śpi Stach w łóżeczku i śnią mu się dalej cudowne historie, drzemie dziadunio nad niedopitą filiżanką kawy, co mu ją mamusia przyniosła a tylko jeden stary wierny zegar, który od młodości zawsze licho sypiał, czuwa i snuje wciąż dalej jeszcze gawędę:

— Tak — tak. Tak —tak. .

K. Konarski.



Jest to obraz znakomitego artysty - malarza śląskiego, Pawła Steller Obraz ten nazywają: „Kobieta z Polesia przy polerowaniu garnków".

„entliczki-pętliczki"

Rozwiązanie z poprzedniego numeru „Jutrzenki".

Zagadka:

Gdynia.

Logogryf:

Rybak.

Łamigłówka:

kula, ułan, lasy, anyż.

Dobre rozwiązanie nadesłali: „Marzycielka". Lucia Ziętkówna z Sosnowca, Kazik Pomirski z Dąbrowy, Czesław Gądek z Dąbrowy, Jasiek Kubalski z Sosnowca. Zosia Czekajówna z Będzina, „Trzpiot" Basia Jaxa-Bykowska z Sosnowca, Hanka Rajsówna z Sosnowca, Marysia Rokicka z Sosnowca, „Stach z K[illegible]", B[illegible] Mańkowski z Czeladzi, Zygmunt Ku[illegible] z Sosnowca Tadeusz Kowalski z Będzina, Jan Kasprzyk z Olkusza, Jadzia Wróblewska z Zawiercia, Zosia Czerwińska z Będzina Zygmunt Łabuś z Czeladzi Kazik Ł[illegible] z Sosnowca Mieczysław Krajewski z Sosnowca, Basia Musiałówna z Grodźca, Krycha Nowakówna z Sosnowca. Cela Barańska z Sosnowca, Marychna Malcówna z Sosnowca, Wanda Szurdakówna z Sosnowca, Zosieńka Niestojówna z Sosnowca, Henryk Klefas z Sosnowca. Lalusia Barańska z Sosnowca.

Nagrody otrzymali: Kazik Pomiński z Dąbrowy, Krycha Nowakówna z Sosnowca i Jadzia Wróblewska z Zawiercia.

Łamigłówka

ul. Lucja Ziętkówna.

Z podanych liter ułożyć imię i nazwisko bohatera polskiego:

K Z M T A I E R Z P I A U K S I

Zagadki

ul. „Trzpiot"

Gdy mam b na końcu — jam jarzyna
gdy r — zbiorowisko drzew, gęstwina;
gdy j — to samo, co walka znaczę,
gdy l — ten, kogo nawiedzam płaczę.

II ul. „Marzycielka".

Jakich to dzikich zwierząt gromada
Na wielkie polskie miasto się składa
Będzie mu świecić gwiazda stuleci,
Bo walczącym były tam dzieci!

Sylabówka

ul. Cela Barańska.

Le — na — le — cej — ta — ka — wo — ma — ń — ir — an — at — w — ra — men — ta — ment — lon — l — rz.

1) Król zwierząt, 2) przybór do pisania, 3) Zapora na rzece, 4) Imię żeńskie, 5) Inaczej zapach, 6- imię żeńskie (zdrobniałe) 7) wstępna książka do nauki, 8) Wyspa, na której uprawiają herbatę.

Pierwsze litery dadzą rozwiązanie.